ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. — **niedziela, 25 lutego 1934 r.** — **Nr. 9**

Stanisław Piasecki

Produkcjonizm, styl i moda

Maszyna do pisania była mi zupełnie niepotrzebna. Po pierwsze: nie umiem pisać na maszynie: Po drugie: mam dość czytelny i wyraźny charakter pisma, który zecerom nigdy nie sprawiał większych kłopotów. Wreszcie: w warjackiem tempie pracy dziennikarsko - publicystycznej, do jakiego zmuszają dzisiejsze warunki, nie miałbym czasu na opanowywanie tajników maszynowego pisma. Nie jest to bowiem wcale, jakby się zdawać mogło, sprawa li tylko techniki palcowania, stosunkowo jeszcze najłatwiejszej do nabycia. Rzecz wymaga przedewszystkiem zmiany techniki myślenia pisarskiego, od szeregu lat związanego psycho - fizycznie z ruchami ręki, trzymającej pióro, wytworzenia w sobie techniki myślenia nowej, wiążącej się z procesem wystukiwania liter na maszynie. A to już nie jest takie proste. U większości moich kolegów, którzy zaczęli pisać na maszynie, obserwuję objawy zepsucia stylu i spłycenia myśli. Znak nieomylny, że osiągnięcie biegłości palcowej w pisaniu maszynowem, nie odbywa się równolegle z psychicznym procesem przestawiania techniki myślenia pisarskiego.

Dlatego też miałem i mam stosunek zdecydowanie negatywny do gorączkowego umaszynowiania pracy pisarskiej publicystów i literatów naszego pokolenia. Może pokolenia następne, które za młodu już nawykną do maszyny, znajdą się w innej sytuacji. Nam jeszcze wystarcza pióro (tyle, że wieczne) i bodaj lepiej odpowiada.

Aliści... I tu właśnie jest cała historja:

Było to przed kilku laty: Zaczęło się od telefonów. Uprzejmy, żeby nie powiedzieć słodki głos. Lawina argumentów. „Wszyscy dziennikarze i wszyscy literaci już używają maszyny do pisania". Wczoraj nabył maszynę ten, dzisiaj tamten, jutro dochodzi do skutku tranzakcja z owym. „Szanowny pan również powinien iść z duchem czasu". Obietnica najdogodniejszych warunków. Prośba o zapoznanie się z najnowocześniejszą maszyną do pisania, jakiejś amerykańskiej firmy, której to firmy mój telefoniczny rozmówca ma zaszczyt być reprezentantem. Byłem nieustępliwy — i telefony po jakimś czasie szczęśliwie urwały się.

Aż któregoś popołudnia dzwonek w mieszkaniu. Jakiś pan w „sprawie osobistej". Po kilku chwilach rozmowy poznałem ten sam słodki głos z telefonu. Ale już nie miałem możności dojść do słowa. Zostałem dosłownie zalany potokiem wymowy. Gdy zaś drzwi za przybyszem się zamknęły i znalazłem się, przytomniejąc, znów sam, na biurku stała maszyna do pisania, pozostawiona „na próbę". Oczywiście bez żadnych zobowiązań. Tylko na próbę.

Dalszy ciąg już prosty. Idjotyczne uczucie zażenowania, że bądź co bądź miało się maszynę u siebie przez kilka tygodni i parę razy stuknęło się na niej (nie nabierając zresztą wcale entuzjazmu). Potem druga wizyta agenta, znów potoki wymowy, chwila słabości („Ach, żebyż się raz już od niego odczepić!") — i podpisanie weksli (dogodne raty!) na sumę kilkuset złotych. W kusym budżecie dziennikarskim wyrwa poważna. Toteż po paru miesiącach maszyna (nietknięta) powędrowała do lombardu za jedną szóstą ceny kupna i tam do dzisiejszego dnia spoczywa. Płacę od niej procenty...

Ale to jeszcze wyjście najszczęśliwsze. Bo gdybym maszynę miał w domu i, nie daj, Boże, przyzwyczaił się do niej — zostałbym już na całe życie niewolnikiem wielkiego przemysłu maszyn do pisania. Uświadomiłem to sobie przed kilku dniami, gdy znowu w telefonie odezwał się słodki głosik: „Szanowny pan zadowolony z maszynki, nabytej u nas? No, tak, oczywiście, nie mam o co pytać. Ale teraz dopiero mamy coś dla szanownego pana. Najnowocześniejszy typ, który świeżo nam przysłano z Ameryki. Maso ulepszeń. Ta maszyna, którą szanowny pan nabył przed trzema laty jest już przestarzała"... Odpowiedziałem coś takiego, że przypuszczam, ani następny telefon, ani wizyta agenta w domu już mnie nie czeka. Niech się martwią ci, którzy dali się uwikłać. Ja jeszcze wywinąłem się stosunkowo tanim kosztem — szajlokowskiemi procentami w lombardzie.

* * *

Dlaczego opowiadam tu tę bardzo zresztą zwykłą historję?

Przyszła mi ona świeżo na myśl przy czytaniu świetnego artykułu Bogdana Suchodolskiego „W sidłach produktywizmu", zamieszczonego w ostatnim numerze „Pionu". Artykuł ten to r a r a a v i s w naszej publicystyce literackiej. Miele się nieustannie stare komunały, kwili się sentymentalnie nad losem bezrobotnych, rozdziera się szaty, że panuje głód i nędza, a równocześnie amerykańscy farmerzy topią nadprodukcję zboża w morzu — i, kilka wierszy dalej zachłystuje się t. zw. nowoczesnością, wychwala się pod niebiosy tempo postępu maszynizacji. Nigdzie ani cienia próby pogłębienia zagadnień ekonomicznych wciskających się w każdą komórkę naszego życia, decydujących o typie naszej kultury, wysuwających się na czoło spraw, jakie przyjdzie nam już niedługo rozstrzygać w obronie zagrożonej cywilizacji.

Suchodolski porusza w swoim artykule sprawę ważną, sprawę najistotniejszą bodaj w dzisiejszych czasach, sprawę t e r o r u p r o d u k c j i. Produkować, produkować, produkować! — oto hasło, które słyszymy zewsząd. Lekarze kryzysu głowią się, jak wzmóc produkcję, bo przecież to tylko może przywrócić zachwianą równowagę, plany reformy gospodarczej układane są pod kątem widzenia odbudowy rynku zbytu. Tylko jakoś nie poddaje się krytyce samej zasady, nie myśli się o tem, że wściekłe tempo produkcji przemysłowej wyprzedziło proces narastania istotnych potrzeb społeczeństwa, że jakiś czas udawało się te potrzeby tworzyć sztucznie, narzucać — aż przeciągnięta struna musiała pęknąć i przyszedł t. zw. kryzys.

Opowiedziana powyżej historyjka o maszynie do pisania jest typowa. Dlatego, że jakiś fabrykant amerykański wyprodukował pewną ilość maszyn do pisania i chce je produkować dalej, bo daje mu to duże zyski — narzuca się nam gwałtem potrzebę, której jeszcze nie odczuwamy, bez której moglibyśmy się doskonale obejść. Dlatego, że przedstawiciel owego fabrykanta w Polsce chce czerpać zyski z pośrednictwa, a jego agenci zarabiają procent od każdej sprzedanej maszyny — my mamy obowiązek podwyższać nasze budżety o wydatek na niepotrzebną nam maszynę do pisania, zaharowywać się jeszcze bardziej, dociągać zarobki do coraz to podnoszącej się przez t. zw. postęp techniczny skali życia. Daliśmy się raz złapać — jutro przyniosą nam nowy, nowocześniejszy typ maszyny.

Wytwarza się w ten sposób jakieś błędne koło. Puszczonej raz w ruch lawiny produkcji, rosnącej z szybkością postępu geometrycznego, niesposób powstrzymać. Powstrzymanie — oznacza zamknięcie fabryk, bezrobocie, głód. A tymczasem tworzone sztucznie potrzeby dla skonsumowania tej produkcji, które zrazu dotrzymywały kroku postępowi geometrycznemu techniki, stanęły dęba. Życie człowieka nie wyczerpuje się przecież w zaspakajaniu potrzeb materjalnych i gdy zaspakajanie tych potrzeb, (nadomiar sztucznie tworzonych) zaczyna zużywać zbyt wiele energji, gdy zaczyna zamieniać człowieka w niewolnika, gdy uniemożliwia mu życie duchowe, wytchnienie, skupienie się — musi zrodzić się bunt. Nie chcemy, żeby rządził nami interes produkcji, żeby przemysł dyktował nam, jakie mamy mieć potrzeby — stosunek musi ulec odwróceniu. Narastanie naszych potrzeb niech wykreśla rozmiary produkcji. Wolimy być biedniejsi, ale pełniejsi duchowo.

* * *

Sprawa produkcjonizmu jest więc nietylko sprawą ekonomiczną, ale jest — i może przedewszystkiem — sprawą kulturalną. Suchodolski słusznie położył w swoim artykule nacisk na tę stronę zagadnienia, ustalając, że przez produkcjonizm *), którego hasłem jest ciągła nowość, uniemożliwia się człowiekowi nawiązanie trwalszego stosunku z dziełami twórczości, ustala się stosunek konsumpcyjny. Co gorsze, odciska się to również na psychice twórców, którzy stają się coraz bardziej wytwórcami, uganiającymi za efektem chwili i mody.

Rzecz zazębia się w tym punkcie o przyszłość naszego życia artystycznego. Byliśmy do niedawna bardzo dumni, że minionemu okresowi bezstylowości schyłku 19-go i początku 20-go wieku przeciwstawiamy wolę stworzenia właśnie — stylu. Stylu, który dla braku innego terminu określamy mianem stylu nowoczesnego. Dziś, oglądając się za siebie, konstatujemy już z niepokojem, że duma stylotwórcza nie znajduje dotąd potwierdzenia w rzeczywistości. Próby tworzenia stylu ciągle przeżera uganianie się za modą. Nieopatrznie postąpił ten, kto np. mieszkanie swoje umeblował nowocześnie. Meble sprzed kilku lat stają się już dziś — niemodne. Bezpieczniej zaufać staremu, poczciwemu Biedermayerowi...

Ta nieustanna płynność, to wypieranie nowości przez nowość i mody przez modę, przeniesione w dziedzinę sztuki z nakazów produkcjonizmu w przemyśle — stanowi niebezpieczeństwo groźne dla kultury. Niebezpieczeństwo, które pora już sobie uświadomić. I rozpocząć walkę.

---

*) Suchodolski używa terminu produktywizm. Termin ten nie wydaje mi się szczęśliwy, jako pochodzący raczej od słowa „produkt", niż od słowa „produkcja".

Felicja Lilpopówna

Malarze wśród śniegów

Głodówka, w lutym.

Teraz dopiero jest zima w całej pełni. Od trzech dni śnieg sypie bez przerwy, drzewa uginają się pod okiścią, na drogach potworzyły się zaspy metrowej wysokości. Warunki narciarskie znakomite, mróz niewielki, wiatr ustał, toteż wszyscy wyruszyli na Halę, — w schronisku pozostało jedynie parę osób, którym względy gospodarcze lub „zawodowe" nie pozwoliły wziąć udziału w wycieczce. Tych kilku to dzierżawcy i „dyrekcja" oraz najgorliwsi spośród malarzy, którym „szkoda czasu na włóczenie się po górach", skoro czeka tyle przygotowanych płócien, a wokół rozścielają się najpiękniejsze na świecie krajobrazy.

Nie można zresztą zostawić domu na opiece losu, trzeba wciąż przyjmować przyjeżdżających tłumnie gości, którzy ściągają z Bukowiny i Zakopanego zwiedzić sławny już dziś na całą okolicę Dom Artystów. — Trzeba również obmyśleć i wyznaczyć trasę biegu o odznakę narciarską, — jutro wszyscy wrócą z gór, jeden dzień odpoczną i pojutrze będą stawać do zawodów. Przed wyjazdem do Warszawy każdy musi wypróbować swoje siły — zdać egzamin ze sprawności, wykazać się przed instruktorem, czy te dwa tygodnie upartych ćwiczeń nie poszły na marne.

Dwa tygodnie to zapewne zamało czasu, żeby, mimo najszczerszego zapału naszych przemiłych instruktorów, Bronisława i Michała Makowskich, z ludzi, zupełnie nieprzygotowanych, zrobić zastęp Bronków Czechów lub Marusarzy, — wystarczający jednak na to, żeby wszyscy zaznajomili się z podstawową techniką jazdy na boisku i w terenie, zwłaszcza, że znakomitych terenów jest tu poddostatkiem. Dom leży bowiem w bezpośredniem sąsiedztwie górskiego łańcucha, na grzbiecie, prowadzącym z Bukowiny do Morskiego Oka, osiągającym na Głodówce wysokość 1150 metrów, spływającym łagodnemi stokami ku dolinie Białki.

W dnie pogodne otwiera się tu widok tak szeroki, że całe Tatry, od Hawrania i Murania aż po Osobitą, widne są jak na dłoni. Grupa Lodowego, Jaworowe Turnie, Gerlach, Wysoka, Rysy, Mięguszowieckie Szczyty królują tu w całej okazałości. Raj to nietylko dla narciarzy, ale przedewszystkiem dla malarzy. A jest tu ich wielu. W chwili obecnej przebywa na Głodówce 40 osób z Warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych, pod wodzą prof. F. Kowarskiego, jako obóz zimowy imienia Stryjeńskiego, zorganizowany przez Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, przyczem znaczna większość niezamożnych studentów korzysta z tych wszystkich dobrodziejstw całkiem bezpłatnie.

Nie mogę się powstrzymać, aby w imieniu kolegów i własnem, nie wyrazić w tem miejscu naszej najgłębszej wdzięczności dla tej instytucji i jej dyrektora, płk. Kilińskiego, która, w zrozumieniu niezwykle ciężkiego położenia, w jakiem się dziś znajduje młode pokolenie plastyków, od kilku lat roztacza nad niem czujną i serdeczną opiekę, dzięki której mam, dzś własną, wspaniałą siedzibę w najpiękniejszym zakątku Tatr.



Dom Artystów na Głodówce.

Celem tego Obozu, tak jak i wszystkich poprzednich, jest regeneracja fizyczna młodzieży oraz zainteresowanie artystów dziedziną sportu, jako motywem ich twórczości, co zawsze zostaje znakomicie osiągnięte: młodzież wraca do Warszawy wypoczęta, pełna sił do dalszej pracy, a wystawa prac obozowych, urządzana następnie w I. P. S. roi się od obrazów i rzeźb na tematy narciarskie.



Widok z okien Domu na Tatry

Obóz obecny funkcjonuje nad wyraz sprawnie, — po wczesnem śniadaniu, cały kurs wyrusza na ćwiczenia, — jeśli to dzień boiska — po dwóch godzinach wszyscy są już wolni. Idą wtedy malować. Pełno wówczas stalug na tarasie, w pracowni, pilniejsi wloką za sobą kasety i blejtramy do odległych o parę kilometrów osiedli, gdzie mają upatrzone ulubione motywy. Czasem jednak spacer przeciąga się aż do zmroku, — wówczas, po późnym obiedzie, najprzyjemniejszym momentem jest odpoczynek w świetlicy, przy kominku, urozmaicony koncertem radjowym, lub, co lepsze, koncertem muzyki poważnej na „prawdziwym" fortepianie, w znakomitem wykonaniu młodego pianisty Kazimierza Kranca, jednego z najgościnniejszych gospodarzy Głodówki.

Muzyka Bacha, Beethovena, Brahmsa, Chopina, Szymanowskiego czy Maciejewskiego, w obliczu wspaniałej potęgi Tatr, stwarza zaiste niezapomniane przeżycia.

* * *

— Co to jest właściwie ten wasz Dom Artystów i czy można go obejrzeć? — Oto stałe pytania, które słyszymy po kilkanaście razy dziennie od przejeżdżających tędy turystów.

— Owszem, obejrzeć można zawsze, można również zamieszkać, a tymczasem prosimy do środka, na herbatę!

A więc o samym domu:

Powstał on tej zimy, nazywa się Domem Artystów im. Karola Stryjeńskiego. Zbudowany został w miejscu, przez niego wybranem, staraniem zaprzyjaźnionych z nim osób i instytucyj, jako wyraz uczczenia jego pamięci i zarazem realizacja jego zamierzeń. Przeznaczony jest przedewszystkiem dla artystów, w najszerszem pojęciu tego słowa (posiada pracownię malarską i rzeźbiarską oraz fortepian), jest jednak dostępny i dla zwykłych turystów, o ile są oczywiście wolne miejsca. Właścicielem tego domu jest Tow. Przyjaciół Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie, a dzierżawcami pp. Makowscy, oni również prowadzą — stale kursy narciarskie. Dom jest otwarty cały rok, mieszka się w nim wygodnie i tanio.

Czy jest przyjemnie?

To się samo przez się rozumie, — w tych warunkach nie może być inaczej. W każdym razie można tu idealnie wypocząć, lub, jeśli kto woli, pracować; pozatem jeździć na nartach lub opalać się na słońcu, leżąc na ogromnym tarasie.

Wystarczy? — Chyba tak. No więc prosimy!

Adam Grzymała-Siedlecki

Garde-Ulanenregiment Nr. Eins

Nowela

Nazwałem tę moją rzecz nowelą — i czuję się, jakbym popełnił malwersację literacką. To wszystko bowiem, co tu będzie napisane, to powtórzenie autentycznej opowieści.

Było to tak:

W roku 1922, wczesną jesienią szukałem mieszkania w jednem z miast wielkopolskich. Znalezienie odpowiedniego domu z ogrodem napotykało na trudności, zwróciłem się przeto do biura wynajmu lokali. Dano mi kilkanaście adresów. Rozglądając się w mapie miasta, łatwo doszedłem do przekonania, że kilometrowe nieraz przestrzenie dzielą jeden ze wskazanych mi punktów od drugiego. Wyszukano mi więc furkę (taksówek w tem mieście jeszcze wówczas nie było) — i przydano mi do pomocy jednego z funkcjonarjuszy biura.

Ruszyliśmy w drogę. Towarzysz mój, ów funkcjonarjusz z biura wynajmu lokali, był jeszcze człowiekiem młodym, nie dochodził trzydziestki, to było znać. Po polsku wysławiał się z trudem. Niemców wtedy było wielu w miastach wielkopolskich. Jak wszyscy oni, tak i mój cicerone, pan Galla, chwytał dopiero w swoją mowę najbardziej obiegowe słowa języka polskiego. Gęsto więc sobie pomagał rodowitą niemczyzną, by w nieustannej rozmowie zaspokoić przyrodzoną mu, zdaje się, gadatliwość.

Mniejwięcej w połowie naszej wędrówki od przedmieścia do przedmieścia, p. Galla chciał się zorjentować w czasie: która to może być godzina? — sięgnął więc do kieszonki kamizelki, gdzie miał zegarek. Pod rozpiętem przy tej sposobności paltem, na klapie jego marynarki ukazały mi się wyszarzałe insygnia orderowe. Przyjrzałem się bliżej i spostrzegłem, że są to kolory takie same, jakie ma nasz Krzyż Walecznych. Więc widocznie armja jego ojczysta, armja niemiecka, miała orderową odznakę identycznie tych samych barw? Zaintrygowało mnie, chciałem się wywiedzieć, zacząłem okolnie:

— Pan był na wojnie?

— Jawohl. Natürlich — z odcieniem chełpliwego zadowolenia pokazał mi te swoje znaki orderowe.

— Z wielkiej wojny?

— Nein. Das ist der polnische Krysch Waletschnich.

Rzecz jasna, że coraz mniej zaczynałem wszystko rozumieć. Mój ajent-gadateusz spostrzegł to i zaczął opowieść, którą ze zmienionemi nazwiskami tu się powtórzy, uporządkowaną biograficznie.

I.

Hans Galla wychowywał się w Bernburgu, w księstwie Anhalt. Ojciec jego, Martin Galla, był tam konduktorem kolejowym. Piękniejszego miasta nad Bernburg niema w całych Niemczech, Hans Galla może to potwierdzić. Nigdzie bowiem niema wieży Eulenspiegel, nigdzie Saala nie jest już taką rzeką, jak tu. Miał dwadzieścia lat, gdy, jako wykwalifikowanego stelmacha, oddał go ojciec na praktykę do słynnych warsztatów powozowych do Zerbst, ale Zerbst to nie to, co Bernburg. Nawet Beuthen w Oberschlesien, gdzie przed przeniesieniem się do dyrekcji anhalckiej, Martin Galla był Schaffnerem, — nawet Beuthen to nie to samo, co Bernburg. Może zresztą potrochu z tego powodu, że w Beuthen, jak i później w Zerbst, nie było niejakiej Lizy, córki odźwiernego w wieży Eulenspiegel.

Owego Beuthen mało zresztą Hans pamięta. Najwięcej może we wspomnieniach utkwiło mu przedmieście Rossbark. Dobry kilometr drogi trzeba było pędzić tam z Leipzigerstrasse, gdzie w studziennej głębi podwórza, na parterze gnieździli się jego rodzice, ale dalekość drogi wynagradzały te parkany ogrodowe na Rossbarku, puste place i wzgórzyste na nich zakamarki, gdzie Hansowi spływały lata dziecinne z rówieśnymi drapichrustami. I ta stara, wysoka akacja z rozłożystemi konarami na zapuszczonym placu budowlanym rosnąca za zmurszałym murem który się jednym susem przesadzało. Ta akacja, którą bębny obsiadały stadem, chmarą, radosne, jak świergocące wróble.

Siedem lat miał Hans, gdy ojciec z Beuthen przeprowadzał się do księstwa Anhalt. Wyjechali wszyscy: ojciec, matka, Hans i jego starsza siostra Hilda, która niebawem zmarła. W Beuthen została tylko na swojej emeryturce Grossmutter, matka Martina Galli. Powiedziała, że nie umiałaby gdzieindziej umrzeć, jak tylko w Oberschlesien, jako że wszyscy porządni ludzie tu, nie gdzieindziej, umierają. Oberschlesien to jest kraj, inne kraje to nie kraje. Nie umiała zresztą nigdy powiedzieć jak należy: Oberschlesien, zawsze mówiła: Schlonsk, co nie przecie nic znaczyło. Nawet mały Hans wiedział, że to jakiś wyraz bez sensu. Wogóle z Grossmutter było wiele w domu kłopotu. Nic dziwnego: stara już była.

W Zerbst, w fabryce powozów długo Hans Galla nie popasał. Nastał marzec 1914 roku, kiedy kończył dwadzieścia jeden lat i musiał stanąć przed komisją asenterunkową. Uznano go za zdolnego do służby wojskowej i jako rodzaju broni wyznaczono mu kawalerję. Ponieważ Hansowi Galli wszystko się dotychczas w życiu wiodło, więc i w rozdziale między pułki stała się rzecz niewiarygodnie szczęśliwa: dostał się do Garde-Ulanenregiment Nr. Eins! Łaska Boska i tyle. Ileż to kto inny musiał zużyć zachodów, nawet protekcji, by służyć w gwardji konnej, w uprzywilejowanych samego cesarza pułkach. Hansowi Galli, szczęściarzowi wystarczył przypadek:

Na punkcie rozdzielczym zrazu przeznaczono go do Jaeger zu Pferde i nawet już miał wygotowane odpowiednie papiery. Zaklął w duchu Hans. Jaeger zu Pferde-Regiment? Zwykły szary, ledwo-ledwo zielonkawy mundur, jak u gajowych w lasach hrabskich pod Bernburgiem. Zaklął powtórnie Hans Galla. Już miał się zbierać z manatkami na pociąg do dalekiego Mühlhausen, gdzie stoi ten zatracony Jaeger zu Pferde-Regiment Nr. fünf, gdy na podwórzu koszarowem, na gołoledzi marcowej jeden z rekrutów pośliznął się tak nieszczęśliwie, że złamał nogę. Ten właśnie jedyny, którego stąd, z Dessau miano wysłać do pierwszego pułku ułanów gwardji w Potsdamie. Powstało zamieszanie, rwetes, Kreutzdonnerwetter. Major klął porucznika za nieporządki na podwórzu, porucznik klął podoficerów, ci całą Mannschaft, a poszkodowanego trzeba było odesłać do lazaretu. Ale tymczasem — nie było na to rady: do Garde-Ulanenregiment musi dziś stąd ktoś odjechać: Garde-Ulanenregiment Nr. Eins! Z takim pułkiem niema żartów.

— Który tu z tego verfluchtes Aas najwyższy i z najdłuższemi nogami? — ryczy major.

Okazało się, że najśmiglejszym w budowie jest właśnie Hans Galla.

— Pisać mu papiery i sofort byka słać do Potsdamu.

Mimo trudy, niedospania rekruckie, mimo schimpfowania, a nawet i tortury podoficerskie, — Hans Galla w pierwszych już tygodniach służby zrozumiał, że wojsko jest jego przyrodzonem rzemiosłem. Nie jakaś tam głupia stelmasza dłubanina. W stajni, w koszarach, na polu ćwiczebnem czuł się dopiero sobą. I ten mundur!

Ten mundur, ten mundur niemieckiego, cesarskiego kawalerzysty! A do tego jeszcze mundur Garde-Ulanenregimentu Nr. Eins! Zwłaszcza galowa granatowa „ułanka", obcisły kubrak z czerwonym kołnierzem a białemi rabatami, obszytemi czerwonym „Vorstossem". Cywil tych rzeczy nie zrozumie, ale tylko porównać: drugi i trzeci pułk ułanów gwardji, choć to też cesarscy, ale rabaty mają tego samego koloru, co i kołnierze, a Nr. Eins czerwony kolor na kołnierzu, a biały na rabatach; o jeden kolor więcej! Przypomina sobie Hans: przed sześciu — siedmiu laty widział raz na ulicy w Bernburgu takiego ułana, który widocznie przyjechał tu na urlop — i odtąd śniły mu się po nocach te białe rabaty i „Tschapka" i „Fangschnüre". — Teraz nocami śni mu się co innego: oto on, Hans Galla dokładnie w takim samym, ale swoim mundurze już, zjawi się na Boże Narodzenie u ojca w Bernburgu i zada całemu miastu parady. Żeby tak jeszcze na koniu! Nie może mieć i nie miał większego w życiu szczęścia nad tę oczekiwaną chwilę — chyba ta akacja na Rossbarku w Beuthen, ta akacja, po której Grossmutter musiała zawsze łatać porozdzierane na sękach portezęta — i mamrotała, że tylko utrapienie z chłopakiem i tyla. Pamięta Hans to jej słowo: „utrapienie", słowo nic właściwie nie znaczące po niemiecku. Ale, jak wiadomo, Grossmutter do końca życia nie mogła się nauczyć mówić dobrze po niemiecku.

II.

Nie sądzone mu było doczekać się urlopu na Boże Narodzenie, pojechać do Bernburga, oczarować Lizę spod Eulenspiegel białemi rabatami mit dem roten Vorstoss. Na cztery miesiące przed urlopem gwiazdkowym, w sierpniu wybuchła wojna. Pośpiesznie w koszarach gotowano się do wymarszu. Gwardja została jednak w stolicy jeszcze kilka tygodni. W tych to tygodniach dobrnęła do Hansa wiadomość, że na alzackim froncie rozbito w otwartym boju ów piąty pułk strzelców konnych z Mulhusy, do którego przed pięcioma miesiącami niecomal że się nie dostał.— „Jużbym dziś może nie żył".— Mimo to rwał się do wojaczki. Grała w smarkaczu żądza przygód, awantur. Może to jest właśnie ta, tak zwana: krew żołnierska? — Padł nareszcie rozkaz wymarszu.

W tych to właśnie tęczowych od barw, galowych mundurach jechał przez Berlin na stację kolejową Garde-Ulanenregiment Nr. Eins. W pełni przepychu pokazać chciano stolicy na pożegnanie jej ulubieńców, jej dumę: pierwszy pułk gwardji konnej. Kopyta końskie tratowały łąkę kwiecia, sypanego ułanom na bruk.— „A ojciec mój, ani Liza tego nie widzą!" — to jedno mgliło Hansowi w niebo-biorący entuzjazm.

W wagonach kazano zdjąć galowe mundury, odesłano je zurück do magazynów:

— Przyślą nam, gdy będziemy wjeżdżać do zdobytych stolic.

Zarówno Mannschaft, jak i oficerowie przywdziali szare Feld-Anzüge. Po tygodniu pułk znalazł się już in Russland, w okolicach miasta Wlotzlaweck. Hindenburg niezwyciężony parł na Warszawę. Garde-Ulanenregiment Nr. Eins postępował za piechotą i artylerją, ciągle gotowy do akcji pościgu, gdy front rosyjski będzie przełamany.

Tu, we Wlotzlaweck, doszła Hansa wiadomość o śmierci ojca. Matka umarła już trzy lata temu, przed nią jedyna siostra Hansa, a Grossmutter w Beuthen też już nie żyła. Nie miał więc już nikogo, wojna mu matką, pułk ojcem.

Zwycięstwo szło za zwycięstwem. W pierwszych dniach października Hans znalazł się w miejscowości Konstantzin, tuż pod Warszawą. Konie stały przy żłobach pod siodłami, bo przełamania frontu rosyjskiego oczekiwano lada minutę. Któregoś dnia naraz coś się zmieniło, bo na linję ognia zaczęto pchać rezerwy. Spieszono też pułk ułanów gwardji Nr. Eins, zużyto go do infanteryjnej służby bojowej. Hans z całym swoim szwadronem odmaszerował do wsi, zwanej Pyry.

Nazwa zaciekawiła go. Pyry? Przypomina sobie, że Grossmutter tak zawsze nazywała kartofle.

— Keine „pyry", Grossmutter, sondern: Kartoffel — strofowano ją.

— Ich weiss: Kartoffel, aber besser sagen: pyry, pyrki.

Grossmutter nigdy się po niemiecku nauczyć dobrze nie umiała. Swego własnego nazwiska dokładnie, jak trzeba, wymówić nie mogła. Zawsze mówiła: „Gała. Anna Gała", zamiast poprawnie: Galla. — Odkąd Hans znalazł się tu, in Russland, czy to bei Wlotzlaweck, czy gdzieindziej, czy teraz tu pod Warszawą, wszędzie w mowie ludzkiej słyszy wyrazy i dźwięki, które w jego ucho za dziecinnych lat wpadały, z rozmów, jakie babka prowadziła ze swemi siostrami staruszkami. Ucichały te rozmowy natychmiast, gdy do cymry wchodził ojciec lub matka. Nieraz rodzice użalali się przed sobą na Grossmutter:

— Sprowadzi na nas nieszczęście.

— Nic nie chce wyrozumieć, że ja jestem na służbie państwowej.

I naprawdę ciężko było z babką. Ciężko było żyć z jej uporem. Choćby naprzykład ta historja z książką do nabożeństwa... Znana to była sprawa w rodzinie. Znana zresztą tylko starszym, bo Hansa, kilkoletniego brzdąca, niewiele to obchodziło. Na całe życie przyczepiło się do niego tylko to, że Grossmutter sprowadzi na rodzinę nieszczęście. Miał o to żal do niej. I to w nim zostało, nawet teraz, gdy Grossmutter oddawna już na Boskim Sądzie.

W Pyrach była ciężka robota.

— To te syberyjskie regimenty — rozchodziło się po szeregach, gdy na linji ognia zaczęli gęściej padać niemieccy żołnierze.

To było pewne, że od chwili, gdy te pułki syberyjskie przyszły Rosjanom na pomoc, atak niemiecki utknął. Hans widział nawet zbliska dwóch piechurów z tych regimentów. Dwaj okrwawieni żołnierze w podartych szynelach, wzięci do niewoli. Jeden z nich umierał z ran. Coś wyjętego spod munduru oddawał temu drugiemu okrwawionemu, ale trzymającemu się na nogach i zacichłym głosem powiedział doń jakieś niezrozumiałe słowa. Hansa uderzyło, że znowu jakby ten sam język, którym Grossmutter mówiła ze swemi siostrami-staruchami. Ten drugi syberyjczyk, który pozostał przy życiu, przy jakiejś sposobności wyznał, że jest Polakiem, tamten zmarły też. No, ale Grossmutter przecie była, jak należy — Niemką?

Pod wieczór, gdy strzelanina ucichła, Hansa, jako stelmacha, więc obznajmionego z ciesielką, wezwano, by wyrychtował sześć dębowych krzyży na groby polowe dla pięciu padłych infanterystów-Niemców i tego żołnierza syberyjskiego. Usypywano już ziemię nad nimi między drzewiną tuż przy oberży w Pyrach. Hans pieczołowicie wyrzynał na każdym krzyżu: „Heldentod gefallen für Kaiser und Vaterland". Na wojnie dopiero zrozumiał całkowicie sens tego słowa: Vaterland. Choćby mu teraz nawet paść przyszło, wiedziałby, że za Niemcy umrzeć warto.

Odwrót, potem bitwa pod Łodzią, niewiarygodna rzeź, ale znowu wielkie zwycięstwo. Potem kilka tygodni kotłowaniny i przyszły mrozy, działania wojenne też jakby zamarzły. Stanęli nad rzeką Bzurą, niedaleko miasteczka Sochatschew. Po trzech miesiącach nieludzkich udręczeń i niedospań, nareszcie — odpoczynek.

Ale w tym właśnie odpoczynku Hans Galla zaczął mieć dość wojny. Dopóki trwały działania, dopóki trzeba było codziennie od świtu do późna w noc charować i konać ze zmęczenia, dopóty nie miał czasu na powiadomienie się o tem, jaki psi los mu wypadł. Teraz ta nuda i r o z m y ś l a n i e. Kraj opustoszały, ani jednego domu całego, mury i chałupne drewniane ściany porozbijane w drzazgi szrapnelami, ludzie pochowani w dołach pod ziemią. Psie kwatery. Racje żywności zmniejszone, mróz, śniegi po kolana, nocleg w pustej stodole z przewiewnemi deskami. Płachcć słomy, który sobie wywalczył Hans, dziś już starty na sieczkę, na tem śpi. I ten do żywa doskwierający, beznadziejny bezwład. Nikomu się niema pożalić, chyba tym wszom, które go całego zjadają.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, te święta, kiedy miał mieć urlop, kiedy miał się pokazać Bernburgowi w białych rabatach. Nocy powigilijnej, pustce spędzonej, taka go wściekłość ogarnęła, że przytulił łeb do swojego postrzępionego legowiska i zapłakał. Wstyd się przyznać, ale zapłakał głośno, jak smarkacz jaki.

Za najbliższego szlafkamrata w tej opustoszałej chłopskiej stodole miał niejakiego Moritza Dufta. W tę wigilijną noc cały pół-pluton rozsypał się po świecie, niewiadomo dokąd, niewiadomo poco. Zostali w stodole tylko oni obaj: Hans Galla i Moritz Duft. — Moritz Duft słyszał więc, że Hans szlocha. Przeczekał, aż Hans się uspokoi, czekał cierpliwie bez słowa, milczący i po dłuższej już ciszy, nic tylko zapytał:

— Źle?

Hans Galla odpowiedział mu oczywiście jakiemś wojackiem świństwem, jak tego obyczaj wymaga. Nie zraziło to Moritza Dufta. Pomilczał chwilę i zaczął sobie raczej, nie Hansowi, wyszczególniać pokolei, monotonnie wszystko, co oni tu teraz znosić muszą. Litanja była długa i coraz bardziej udręczająca. Nie przepuścił niczego, ustał na chwilę, wreszcie zapytał:

— I czy to wszystko koniecznie znosić trzeba?

Ponieważ Hans znowu ani słówkiem się nie odezwał, więc tamten odwrócił się odeń plecami, wtulił się szczelniej w swoją garsteczkę słomy, ziewnął jakby na dobranoc i przewiewnym deskom stodolnym zaczął się zwierzać:

— Po tamtej stronie, po rosyjskiej, stoi sobie przy drodze taka poprostu karczma. Jest taka wieś, ona się nazywa Mlodsieczchin. Przez ten Mlodsieczchin trzeba jechać, to potem jest taka wąziutka droga, ona potem jest szersza — ta droga. Za tym Mlodsieczchin ta droga, a przy niej ta karczma, ta karczma! — marzył Moritz: — tę karczmę to trzyma mój znajomy. On nawet jest trochę mój krewny. Niewiele krewny, ale krewny.

— We Wlotzlaweck miałeś przecie krewnego, nie tu.

— We Wlotzlaweck to inny. Tu ten karczmarz to znowu inny. Jemu tam dobrze jest. Ciepło. Karczma Hehl to już o wszystkiem wie.

— Co Hehl wie? (Hehl był Gefreitrem w ich plutonie) — Co on wie?

— Nic.

— To nie psuj pyska i nie przeszkadzaj mi spać.

— Gute Nacht.

— Gute Nacht.

— A schnapsabyś się nie napił, Hans?

— Dawaj.

— Nie, ja schnapsa nie mam: ja się tylko tak przez ciekawość pytam.

Do wszystkich choler odesłał Hans idjotę.

Nie spało im się jednak. Moritz jął wyjaśniać swoje niewczesne pytanie:

— Ta karczma puściła we mnie solche Schwärmerei. A conto schnapsa Träumerei — wyszeptał rzewnie. — Jemu się teraz bardzo dobrze wiedzie.

— Komu?

— Temu mojemu krewniakowi.

— Wiadomo: szynk.

— Nietylko to... I co inne jeszcze. Tam w okolicach Mlodsieczchin to nad rzeką są takie pagórki... Tak można między te pagórczki wjechać, że nikt cię nie zobaczy, że tam jesteś... Potem po rzece przez lód — i już die Russen. On wtedy, ten mój krewniak, to on sobie z karczmy idzie weg — i on o niczem nie wie. Tylko trzeba do tych pagórczków nad Bzurą dojechać. Hehl to już wszystko wie.

— Ale co wie, do djabła?

Wziął Moritz Duft od Hansa Galli uroczysto rycerskie słowo honoru i choć poza nimi nikogo w stodole nie było, przyczołgał mu się pod samo ucho i najcichszym szeptem wtajemniczył go:

— Jeśli kto chce dostać się do niewoli rosyjskiej, to wystarczy tylko zajechać do karczmy Moritzowego krewniaka i — gotowe. Po kwadransie będzie już oddzialik rosyjski — i skończyłeś wojnę. Hehl to już dobrze wie.

III.

Mniejwięcej dwa tygodnie później, któregoś dnia Gefreiter Hehl otrzymał rozkaz dobrania sobie dwóch ułanów i wyruszenia o świcie na całodzienną wyprawę dla wywiedzenia się, czy gdzie w okolicy nie dałoby się zarekwirować furażu dla koni. Gefreiter Hehl dobrał sobie ułanów: Moritza Dufta i Hansa Gallę.

Ruszyli o świcie, krążyli wokół po bliższych i dalszych wsiach — nigdzie nic. Zresztą ludzie chowali się przed nimi. Miało się już pod zachód słońca, wczesny zresztą o tej porze roku — Hehl skomenderował naraz kierunek na północ. Jechali tak przeszło godzinę i Hehl skręcił naprawo, ku rzece. Jechali jakąś ścieżką, z obu stron zasłoniętą drzewami. Tak dobrnęli do pagórków nad Bzurą. Hehl nakazał odpoczynek. Dali koniom siana z troków. Ściemniło się już doszczętnie, wsiedli na konie i jakiemiś przesmykami zaczęli zjeżdżać ku wodzie. Jechali krok za krokiem, co chwila przystawali — wtedy Hehl bacznie nadsłuchiwał. Cisza. Hehl wjechał pierwszy na lód.

Hans dobrze już wiedział, że jadą do krewniaka Duftowego, oddać się nieprzyjacielowi. Było mu wszystko jedno: od Bożego Narodzenia nie miał już żadnego czucia, żadnego rozeznania rzeczy. Zresztą Hehl przecie jest tu dowódcą, Hehl za wszystko odpowiada. Wspięli się na przeciwległy brzeg i truchtem ruszyli po śniegu, tłumiącym pogłos końskich kopyt.

Ujechali z pół kilometra i wtedy dopiero w Hansa rzuciła się nagła myśl, że przecie to, co teraz czyni, to jest przestępstwo, za które słusznie mu się należy kula w łeb. Przed oczami przeleciała mu jego własna postać, galowy jego z białemi rabatami mundur i pół-plutonu luf karabinowych, wymierzonych wprost w te rabaty:

— Halt! — krzyknął naraz przeraźliwie.

Odwrócił się Hehl:

— Czego się drzesz?

— Ja dalej nie jadę.

— Coś ty powiedział?

Zamiast odpowiedzi, Hans zawrócił koniem i ruszył w powrót. Ani się jednak spostrzegł, kiedy Hehl dopędził go i wyprzedziwszy, zajechał mu drogę, a gołą szablę już wzniósł ponad głowę, gotowy do ciosu:

— Du, Sauhund, żywy do komendy z denuncjacją nie dojedziesz!!

Gdyby nie klacz, której Hans dosiadał, gdyby nie ta strachliwa klacz, nieujeżdżona jeszcze wojskowo w sposób należyty, gdyby nie ona, Hansby już zapewne nie żył: nerwowe zwierzę naraz rzuciło się wtył, stanęło dęba i przez łeb wzięło Hehlowe uderzenie szablą, przeznaczone dla Hansa. Dojęta do żywego bólem, klacz rzuciła się przed siebie, poczem zawadziwszy o pień przydrożny, padła. Wściekły już raczej za biednego konia swego Hans błyskawicznie wyjął szablę i natarł na Hehla, czuł, że nie znajdzie spokoju, dopóki łajdaka tu nie ubije. Hehl nie dawał się oczywiście — i tylko słysząc zboku Moritzowe paniczne: „Um Gotteswillen, um Gotteswillen!" — walili się, a nieludzko obaj na siebie krzyczeli. Czy to ten krzyk zwabił jakiś patrol rosyjski, czy czysty przypadek, dość, że w odległości kilkudziesięciu kroków ukazały się „die russische Papachen" i kilka kulek posypało się na nich. Hehl i Moritz en carrière wyrwali, ale w stronę owej karczmy. Hans zaś poniechawszy już klacz-zbawczynię, zaczął piechotą mknąć ku rzece. Naraz pod łopatką uczuł ból i po chwili padł.

Aż do wiosny tułał się po różnorodnych rosyjskich lazaretach, wreszcie w maju odtransportowano go do obozu jeńców. Daleko. Daleko [illegible] miasto takie, jak Tschelabinsk.

Głodu tam właściwie nie miał Hans większego niż w swojej armji, nad Bzurą. Tylko jeszcze wścieklejsza za kolczastemi drutami nuda niż tam, bei Sochatschew. Pobolewało też pod łopatką w płucach. Ale ten ból chętnie znosił jeniec: jakby rehabilitacja jego honoru żołnierskiego. Ma to pocieszenie, że n i e d o b r o w o l n i e dostał się do niewoli. W walce. Jak przystało ułanowi z Garde-Ulanenregiment Nr. Eins. Nosił się dumnie, nawet wyniośle wobec strażników obozowych.

Tam, w tym Czelabińsku, na przedmieściu miał sklepik ze wszystkiem niejaki Pietuchin. Sklepik był mały, ale interesy Pietuchina były obszerne, bo handlował en gros drzewem i bydłem. Zabrano mu do wojska subjekta, zwrócił się więc do dowództwa obozu jeńców, czyby mu nie dano któregoś z germańców, a ostatecznie choćby i awstrijca. Wolałby artylerzystę lub kawalerzystę, któryby umiał chodzić w stajni koło konia. Pietuchin często musiał wyjeżdżać kilkadziesiąt nawet wiorst poza Czelabińsk za sprawami leśnemi, więc miał konia. Dowódcy obozu nawinął się Hans Galla — odkomenderowano go do kupca Pietuchina służbę.

Jako że mu się zawsze wszystko w życiu wiodło, więc i u Pietuchina trafił na dobry los. Żarcie było wspaniałe, syberyjskie, wódka musowo do obiadu i wieczerzy, choć zabroniona przepisami stanu wojennego. Ludzie w domu wszyscy dobrzy: i sam Akakij Fomicz Pietuchin i żona jego, i córka — pucułowata, świecąca się na twarzy blondynka Wiera Akakijewna.

Odpasł się Hans u Pietuchina za całą wojnę i spokojnie mu tu było. Pietuchin też sobie chwalił jeńca. Zmyślny. Po kilku miesiącach mógł się już jako-tako w języku rosyjskim wysłowić i porozumieć z klientelą, do konia miał serce, świetnie, jak na Czelabińsk, umiał rachować, co w podziw wprowadzało kupca-analfabetę:

— Czy pomnożyć jakie siedem na dziewięć, czy znowu podzielić jakąniebądź liczbę na równe części — wszystko wie pareń odrazu i prosto z umá, bez kredy. Obrazowany naród ci germańce.

(Dokończenie nastąpi).

Adolf Nowaczyński

Ogniem, mieczem i piórem

Cicho, dyskretnie, ale nieco chytrze i konspiracyjnie usunięto już pół roku temu z programu lektury szkół średnich Sienkiewicza: „Ogniem i Mieczem". Można by długo dyskutować nad tem, czy był w tem sens i cel. Poniektóre archigalicjany (belfer Saloni w Katowicach) wyjaśniały intencję ministra i jego Żołądkowicza tem, że nie trzeba drażnić i jątrzyć Ukraińców.

Pozornie bardzo słusznie, tylko ta dewiza nie jątrzenia nigdy nikogo przez archigalicjan została podniesiona do godności dogmatu życiowego: nie drażnić żydów, nie drażnić pana szefa, nie drażnić nikogo, a wszystkim padam do nóżek i całuję rączki...

Jeżeli jednak prastare „Ogniem i Mieczem" istotnie tak irytuje Rusinów, no to złożyć uroczyście na ołtarzu ugody z dorastającą i dojrzewającą potencją i basta! Zakazane będzie jeszcze bardziej czytane, jako że owoce zakazane pożądane bywają. Rusińskie pismo „Nowa Zoria" domagało się już zdawna usunięcia. Habeant sibi! Byle się na tem tylko ograniczyć!

Ale jeżeli to tylko początek?

Czy wkrótce nie wejdzie na estradę znów jakiś nowy arrivista i nie zażąda „usunięcia z programu szkolnego „Mazepy" Słowackiego, w którym historja została też zniekształcona, a „wielki" król przedstawiony jako Don Juan czy Casanova? I wtedy na miejsce „Mazepy" Słowackiego może wprowadzą obowiązkowo trylogję „Mazepa" sympatycznego Bohdana - Łepkiego". Ustępstwa i koncesje bywają słuszne i owocne byle się w nich nie zapędzać przedwcześnie i byle w tej akcji ręki nie maczały t. zw. archigalicjany, to jest gatunek sanatorów każdej chwili gotowych do każdych cofań i reweransów i przeprosin i t. p.

Takim np. archigalicjanuszką za czasów okupacji niemieckiej był adjutant jednego z Trójcy Regenckiej, p. Górka, młodzianek wówczas najdalej się „angażujący" w protegowaniu okupacji pruskiej, nadskakujący wszystkim wszędobylski, w mundurku fertający się nawet w samochodach z oficerami pruskimi (czego nawet Wehrmachtowcy unikali), sylweta, której się nie wspomina z rozczuleniem, z żydostwem wówczas związana i żydowskim sugestjom posłuszna.

Czyż można się dziwić, że kiedy ten pan Górka ze Lwowa wystąpił ze swoim rewizjonizmem Sienkiewiczowskiem, przyjęto go sceptycznie, sztywnie, gdzieniegdzie jak Filipa z Konopiszt, a gdzieniegdzie jak charta w kręgielni?

Czy również atoli można się dziwić panu Górce?

Otóż stanowczo nie należy. Kto w Warszawie do stycznia r. 1934 wiedział coś o panu Górce? Oprócz pięćdziesięciu kilku osób z otoczenia prof. Handelsmana poprostu nikt. Nomen ignotum.. Mało kto się interesował Instytutem Wschodnim, w którym p. Górka rej pono wodził. O p. Górce wiedziano tylko tyle, że po fatalnie niewydarzonej karjerze dyplomatycznej (Paryż i Bukareszt) poradzono mu wycofać się z obiegu, ale jako zasłużonemu (tempore belli wobec obu mocarstw centralnych), ofiarowano na odczepne katedrę uniwersytecką we Lwowi. I tam deportowany wegietował sobie docent Górka w cieniu i w pomroce prowincjonalnej i tam mógł dowegetować aż do emerytury, wydawszy kolejno pięć, sześć, siedem dzieł fundamentalnych, ale nieczytanych.

Cała jego lwowska kompanja porobiła błyszczące karjery w stolicy, stała na świeczniku, obwieszona orderami siadywała w łożach, brała udział w reprezentacyjnych polowaniach, dancingowała w Gdyni i w Zakopanem, jeździła po Paryżach i Londynach! a on co to przecież w Bukareszcie, w Gdańsku i t. p. skazany był dożywotnio na socjetę belfrów i seminarja tureckie czy arabskie. Jakżeż mu się tedy dziwić, że pewnego poranku zerwał się jak oparzony ukropem i ratując się uciekł do stolicy, tuląc do łona rewelacje, którymi miał olśnić świat intelektualny i przy okazji przypomnieć się P. T. Publice.

Venit, vidit, vicit. Nie było Górki. Jest Górka. Na ustach wszystkich jest Górka, nowy Górka. Nikt już nie pamięta o adjutancie Wehrmachtowcu, o nieudałym dyplomacie. Przed nami stoi niezłomny, nieustraszony poszukiwacz Prawdy, bojownik Prawdy, męczennik za Prawdę. Pan Górka wygrał. Swego dokonał. Od czasów prastarych ten herostrategizm nie zawodzi nigdy. Albo podpalić świątynię Djany dlugonogiej, albo szargnąć jakąś Świętość. Wtedy zaraz naiwne dewoty rzucą się hurmem do obrony. Druga hurma niewiernych heretyków rzuca się na pierwszą hurmę. I zaczyna się „fight", walka na deptanej ziemi, hałas, rwetes, harmider, wrzask, krzyk, petardy cuchnące, stare jaja zepsute, oburzone belfry wychodzące za bramę, wiece, hece, ruch w interesie. Ten za Górką, tamten przeciw Górce, ale wszyscy o Górce, a o to przecież chodziło.

Najpierw na arenę schodzą atleci lekkiej wagi; w Katowicach Saloni, w krakowskim „Czasie" dr. Leśniodorski. Potem się pospolity człowiek z ulicy (man of street) dowiaduje o egzystencji prof. Tomkiewicza. Ale potem już staje na arenie sam poseł pączek, aż wreszcie schodzą po schodach major Laskowski, generał Kukiel, uczony Pigoń, prof. Zakrzewski, prof. Konopczyński i robi się spektakl wcale interesujący. W najśmielszych snach p. Górka nie przeczuwał, nie roił, że z tej bagateliny taka lawina druku się potoczy, że sukces będzie tak pełny, tak „stuprocentowy! tak olśniewający! Mało brakowało, żeby nie zabrał głosu w tej sprawie hetman Skoropadzkij w Berlinie! Mało brakowało, żeby nasza Akademja nie zebrala się na specjalne posiedzenie.

Pan Górka stał się jednej nocy z dnia na dzień poprostu słynnym Górką. Normalny rodak dowiedział się przy okazji, że w Beyrucie istnieje uniwersytet i to świętego Józefa i że p. Górka właśnie tam studjował orjentalistykę, żeby potem przejść do batalistyki. Wreszcie przyszły i wywiady ze „znakomitym uczonym" Górką. Najważniejszy był w „Echo de Varsovie" usłużnego żydka Taumana bo przez to i świat dyplomatyczny znów przypomniał sobie o byłym attachem wojskowym. Arrangement tedy świetne!

Że dzielny ikonoklasta (i orjentalista) wystąpił ucharakteryzowany tym razem na „ludowca", że napsioczył okazyjnie na szlachtę, na magnatów, na karmazynów, na kawalerję, a podkadził przelotnie walczącym w szeregach „kmiotkom" chamom, więc „murem" stanęła za nim młódź judemokratyczna, mocarniki masońskie, legion młodych bolszewilczków, autor „Kordjana i Chama".

Czy Sienkiewiczowi to zaszkodziło? Tak mogą twierdzić i pisać tylko matoły, belfry o rozmiękczonym mózgu oraz młode tępe cielaki, partyjna „Tschandala" (mob.). Oczywiście wprost przeciwnie. Tak było i bywało zawsze. Od czasu do czasu dla zmartwychwstania i galwanizowania wielkich zmarłych należałoby obstalowywać takie napaści. Tuż przed każdym jubileuszem, przed każdą rocznicą urodzin czy śmierci, tuż przed każdą nagrodą państwową, wentualnie przed Noblem należy obstalowywać rewelacje. Inaczej dzisiejszej publiki („inteligencji"...) nie ruszy się z miejsca, nie zelektryzuje, nie zainteresuje. Dopiero pała w łeb, nawet w ciemię wyprowadza czeredę z marazmu, z agonji, z apatji. Gdyby był p. Górka napisał gruby prześliczny tom o Trylogji językiem Kochanowskiego, stylem Klaczki, na poziomie Saint Béuve'a (a la mode) czy Remy de Gourmonta (Gourmanda) nicby kadzidło umarłemu nie pomogło. Tylko napaścią można ruszyć z posad ziemię. Taka jest nowoczesność.

Docent Górka orzekł po krótkim namyśle (i krótkiem studjum), że Sienkiewicz brał tylko z Kubali „tworzywo" a Kubala (kresowy szowinista) wymijał się z prawdą, ergo i „Ogniem i Mieczem" - to stek fałszów, płycizn, przekręcań, naciągań prawdy a Jarema to huncfot i hyccl, natomiast... i t. p. I odrazu jak kij w mrowisko i rezonans przewspaniały. I nagle już dawno zapomniane nazwiska sercu-drogie spowrotem na ustach wszystkich: Podbipięta, Skrzetuski, a Krzywonos tak jakby między nami znów się pojawił. Doszło do tego, że w wypożyczalniach książek znów zamiast tego nieszczęsnego Kadena i jego zakalców wszyscy domagają się... „Ogniem i Mieczem".

„Und das hat mit ihren Singen die Gorkelei gethan".

Nie poruszamy tu już zasług dr. Górki dla „Pionu". Jeżeli go nie postawił na nogi, to w każdym razie dr. Górka był jedyny dla którego ten i ów brał periodyk do ręki. Jeżeli p. Górkę nie będą zanadto eksploatowali i dopingowali do dalszego rozwlekania dyskusji, jeżeli nie zrobi się z udałej afery ciężkiej rozwodnionej piły (co już grozi), to w każdym razie Andrzej Chudogęba („Tadziuś") powinien z jakiegoś tam Towarzystwa Krzewienia wycisnąć honorarjum specjalne (Krezusowe), gdyż bez Górki „Pion" znajdzie się odrazu w sytuacji poziomej i na szmelc („małe scenscie, duze kosta").

Ktoś inny powinien teraz zająć się „Quo Vadis". Materjał gotów: Kiedy dwa lata temu jakiś belfer - sanator archigalicyjski (Salnicki z Kołomyi) w zapale kultu Jednostki stanął nawet w obronie Nerona (sic), potraktowało się go jako kretyna napastowanego przez epilepsję. W międzyczasie pojawiły się na świecie publikacje czyszczące, wybielające Nerona, o których belfer z Kołomyi oczywiście ani nie wie, ani nie mógł mieć wyobrażenia. Co się okazuje? Nero był regentem wcale wcale. W werdykcie historji padł ofiarą bajczarza (Kubali) Tacyta, no, i poprostu mściwości żydów, miał złą prasę żydowską. W „Quo Vadis" jest tedy Neron nieprawdziwy, nie autentyczny, przez szkła żydowskie widziany, oszkalowany. „Quo Vadis" należałoby napisać po raz drugi. No i nie trzeba dodawać, że 40 proc. prawdy w tem tkwi...

Ktoś inny mógłby się zabrać do prześwietlania szeregu dzieł Mickiewicza i błędów historycznych w takim choćby arcy dziele narodowem, jak „Pan Tadeusz". „O wiosno"! Jaka wiosna? Napoleon mógł być w Soplicowie dopiero 9 lipca! Czy to jest wiosna? A Jankiel? Gdzie bywali tacy Jankiele, skoro wedle wszystkich zgodnie historyków, w kampanji napoleońskiej żydzi litewscy dostarczali tylko armji rosyjskiej tysiącami szpiegów, a po klęsce po Berezynie dobijali masowo rannych Francuzów!

Matejkę możnaby przemalować całego, obraz po obrazie, skoro często obrażana jest w tych obrazach autentyczna prawda historyczna.

Nieprawdziwa jest „Marja Stuart" Szyllera, nieprawdziwy jego „Don Carlos", nieprawdziwy Filip II i królowa Elżbieta. A jednak żyją na scenie i żyć będą.

Królowa Bona Sforza z Bari była świetną regentką a święta romantyczna Makryna Mieczysławska skończoną figurą spod ciemnej gwiazdy.

W ostatnich czasach mocno wyczerniono i odbronzowano Waszyngtona i Lincolna. Bohaterowie natomiast Wielkiej Rewolucji: złodziej w złodzieja.

Prawda jak oliwa powoli na wierzch wypływa. Każde dziesięciolecie coś nowego prześwietla, dodaje, bogaci i stare błędy zastępuje nowymi błędami. W każdym jednak razie my nowocześni ludzie lepiej i dokładniej znamy epokę Jana Kazimierza niż jego spółczesnicy. O Sobieskim! o Sobieskim nawet! możnaby napisać jedną powieść pro, a jeden dramat contra. Tylko czasu na to niema.

Nic więc dziwnego, że i na pana Górkę z Beyrutu (Uniwersytet świętego Józefa) można patrzeć także i przez odwróconą lornetkę. W każdym razie jednak już się go widzi. — A w grudniu jeszcze był niedostrzegalny.

Józef Kisielewski

Jeszcze raz o „Przedmieściu"

Pojawiają się nieraz książki, bynajmniej nie najwyższej klasy pisarskiej, które jednak bardziej niż cokolwiek innego służyć mogą za barometr swoich czasów. Często są to publikacje, o których się nazajutrz zapomina, skupia się przecież w nich przypadkowo wiele najcharakterystyczniejszych motywów i to w takiem zgęszczeniu i ostrości, że właśnie dzięki temu jednym rzutem myśli można ogarnąć istotę spraw złożonych i rozpływających się kiedyindziej w wielu odrębnych płaszczyznach.

Taką książką jest „Przedmieście", zbiorowy tom utworów grupy literackiej, występującej pod tą samą nazwą. Nie chciałbym tego zbioru zbyć łatwą konfrontacją zamierzeń z ukazanemi osiągnięciami, choć podejście takie mogłoby mieć pozory słuszności: utwory są pod względem literackim przeważnie słabe, niema więc powodu dłużej się nad niemi zatrzymywać. Dla mnie jednak jest ten tom razem ze swemi wadami, nawet z brakiem prawdziwych osiągnięć artystycznych tak charakterystyczny, tylu dostarcza momentów do zastanowienia w sprawach, które u nas stale wałęsają się nierozstrzygnięte i omijane — że obszerne omówienie, a nawet dyskusję uważam za celową.

„Przedmieście" jest przedewszystkiem próbą wpuszczenia do literatury tematyki współczesnej. Niejednokrotnie wyrażano zdziwienie, że we współczesnej twórczości literackiej brak jest spraw dnia dzisiejszego. Zdziwienie było słuszne, postanowienia, które były jego skutkiem, piękne, ale w sumie rezultaty nijakie. Wyrażać przez literaturę współczesność — oczywiście! Okazało się jednak, że nie jest to znów takie proste. Wraz z odmienną treścią okazały się potrzebne nowe metody twórcze. Sprawa sprowadzała się do rozważań nad rzemiosłem literackiem. Wszystkie próby naogół zawodziły: jeśli był współczesny temat, nie było współczesnej formy, gdy pracowano nad formą. dochodzono do dziwactwa. Na terenie, który otwiera się przed literaturą wszystko jest nieustalone, grząskie, niewiadome.

Z wielu różnych programów, program grupy „Przedmieścia" jest najskromniejszy. Wobec piętrzących się trudności zeszedł na najniższy stopień wymagań: obserwacja. Zaczynamy od wnikliwej, drobiazgowej obserwacji. Wszystko inne idzie programowo w kąt: sprawy formy, kompozycja, treść. Zostaje narazie tylko obserwacja. Można na taki program stroić zblazowane grymasy, ale nie można odmówić mu uczciwości. Zgodzić się wszakże na niego wolno tylko pod tym, bardzo ważnym, warunkiem, że jest on świadomie tymczasowy, że jest tylko punktem wyjścia. Zastrzeżenia takie trzeba silnie zaznaczyć wobec istniejącego niebezpieczeństwa, że zredukowany program może skusić łatwizną i wejść w nałóg.

Niebezpieczeństwo takie istnieje. Dowodzi tego już ten... pierwszy tom. Analizując poszczególne utwory, dochodzi się do przekonania, że wytkniętego i dobrowolnie przyjętego programu trzymają się tylko dwie osoby: Helena Boguszewska i... Zofja Nałkowska (w opowiadaniu „Mieszkanie"). Utwory tych dwóch pisarek to są niewątpliwie tylko „wprawki", a raczej próby wysunięcia na plan pierwszy jednego elementu: reprodukcji poczynionych obserwacyj w celu skontrolowania źródeł nowej treści dla literatury — ale czynność powyższa wykonywana jest, nie mówiąc o jej wysokim poziomie, z całą ostrożnością i przewidywaniem istniejących niebezpieczeństw.

Utwory wszystkich niemal innych autorów tej książki (nie mówię o Morcinku, dostał się on tu tylko przypadkiem) są już nieporozumieniem, dowodzą. jak niebezpieczne stają się programowe hasła społeczne w literaturze, gdy je wprowadza człowiek, który jest narazie jeszcze bardziej doktrynerem, niż artystą. Jerzy Kornacki, jak się okazuje z przedmowy teoretyk i inicjator grupy, wyszedł z tych samych założeń co Boguszewska: notowania w sposób dokładny, „laboratoryjny" spostrzeżeń z życia nizin społecznych. Nie poprzestaje jednak na tem. Ten „nagi", niespreparowany materjał uważa za dostatecznie dojrzały. by już z niego budować skończone dzieło literackie. Obserwację swoją deformuje i stylizuje, narzuca jej kompozycję, ale rodzaj tej pracy obraca się ciągle na tych niższych, regulowanych zbyt doktrynersko przez programowe założenia, płaszczyznach sztuki.

Mają rację krytycy, gdy twierdzą, że znać na tej książce wpływ Kadena. Dotyczy to przedewszystkiem utworów Kornackiego. Ale trzeba dodać, że uwaga ta może zarówno pomóc do wyświetlenia rodzaju twórczości „Przedmieścia", jak i dostarczyć informacji o samym Kadenie. Zastanawiając się nad „Krawcami" Kornackiego, niepodziewanie precyzuje się jasno to, co się dawno myślało o autorze „Bigdy": Mozolna, pracowita obserwacja, rozdeptana na placek natrętnych słów. Jeżeli się dziś nareszcie zaczyna mówić o wszechwładzy pewnych manjer stylowych w polskiej literaturze współczesnej, to dobrze jest dojść do zanalizowania nietylko od zewnątrz, ale i od strony anatomicznej jednej z najgłębiej zakorzenionych manier, której najwybitniejszym przedstawicielem jest właśnie Kaden. Sprawa jednak nie przedstawia się prosto i łatwo. Czytając „Włókniarzy" Boguszewskiej wie się odrazu, że jest to tylko próba, ćwiczenie, ale przy czytaniu „Krawców" Kornackiego już nie każdy czytelnik będzie miał tę pewność. Przez zatarty manierą stylistyczną rysunek stworzona została dostateczna okazja, aby ludzie o słabej orjentacji literackiej mogli się w tem doszukiwać wielkiej sztuki. Na identycznej, mojem zdaniem, podstawie opiera się rozbieżność i nieporozumienie, jakie wywołuje twórczość Kadena.

Chciałbym, aby ten artykuł był więcej dyskusją, aniżeli oceną krytyczną książki. Wiem, jak wielkie i niepokojące trudności stają przed pisarzem, gdy w mozolnym trudzie stara się z ogromu materjalu, dostarczanego przez współczesność, zamknąć jakąś jego część w formę literacką. Przy każdym tego rodzaju wysiłku powinno się być po stronie próbujących, chociażby ich osiągnięcia były zupełnie chybione (a przecież o omawianym tomie nie można tego powiedzieć; przeciwnie, sądzę, że do prawdziwych wyników dochodzi się przez pokonywanie pomyłek). Dlatego też, mówiąc o pomyłce Kornackiego, nie chcę niczego przesądzać, raczej pragnąłbym zaprosić pisarza na wspólne rozważanie naprzykład nad procesem rozwoju twórczości Zofji Nałkowskiej, poczynając od jej pierwszych książek Zestawienie „Narcyzy" z „Niedobrą miłością" dałoby chwilę pożytecznej zadumy i mogłoby wyjaśnić wiele wątpliwości.

„Przedmieście" nasuwa jednak jeszcze i inne refleksje. Cementuje grupę program społeczny. W przedmowie Haliny Krahelskiej wyłożony on został bardzo dokładnie; wyprowadzić z tej przedmowy można bardzo dokładnie trzon, podstawę programu: Jest nią współczucie dla wszelkiego pokrzywdzenia i przeświadczenie o konieczności przemian społecznych. Przy czytaniu wszakże przedmowy, a później zamieszczonych utworów odnosi się wrażenie, że cały ten program społeczny literatów ułożony został nazbyt po... literacku.

Tematy społeczne książki zamykają się w konwencjonalnych terminach wczorajszej djalektyki proletarjusza, dręczonego przez kapitał, choć od czasu świeżości tych słów świat bardzo znacznie się oddalił i ukazał, że pokrzywdzenie nie jest atrybutem jednej tylko warstwy. Pokrzywdzona jest cała ludzkość, wszyscy. Ciekawe jest, że o nędzy mówi się w tej książce w słowach ostrych i kategorycznych, a o przemianach społecznych mgliście i ogólnikowo. Czyż najciekawszym tematem nie jest rozwiązanie pozytywne pytania — jakie mają być te zmiany?

Każdy okres wytwarza swój własny konwenans w odniesieniu do niesprawiedliwości społecznych, pewien stały wzór, w który bardziej czułe sumienia mogą zamykać dla własnego spokojenia obszar życia, wyrzuconego poza nawias panującego ustroju. Okres gospodarki wielkokapitalistycznej wytworzył również (coprawda bardzo późno i niechętnie) taki konwenans współczucia. Odtąd każdy człowiek, nawet „rekin" przemysłowy, mógł sobie pozwolić na dawkę szlachetności wobec pokrzywdzenia, na trochę niekosztownego wysiłku dla spokojności sumienia. Wszelka oficjalna i literacka czułość czerpała, ku jednostronnemu oczywiście zadowoleniu, obficie z tej skarbnicy konwenansu.

Niestety, hasła społeczne, głoszone przez „Przedmieście", są tego właśnie pochodzenia. Ci pisarze, którzy dobrowolnie chcą, aby od nich wymagać nietylko literatury, ale i wiadomości społecznych, nie doszli jeszcze do tego prostego rozróżnienia, że sprawy dziś rozgrywają się już nie pomiędzy kapitałem a proletarjuszem, ale pomiędzy zasadą obejmującą na jednej płaszczyźnie i kapitał i proletarjat a nowym porządkiem, który ma dotyczyć i ogarniać wszystkich. Każdy światlejszy publicysta zna już dziś tę różnicę doskonale, nie zna jej tylko literat i to do tego literat - społecznik. Z takich przyczyn rodzi się. nie od dzisiaj, pretensja społeczeństwa do pisarzy, że w sprawach społecznych nie umieją się zdobyć na myśl samodzielną i przewidującą, że powtarzają obiegowe komunały — i to z opóźnieniem, że nie stać ich na zdecydowany rzut w przyszłość, choć to ich i obowiązek i prawo. Zawołania społecznego programu „Przedmieścia" nie wywołują rezonansu, zapadają w pustkę.

Na tej podstawie ideowej mści się fatalnie jej rodowód, który wywodzi się z humanitaryzmu, idei powstałej z tego samego podłoża co i ekonomja kapitalistyczna. Takie ambarasujące pokrewieństwo nadaje humanitaryzmowi cechy kompromisowości i połowiczności, a jego taktyce cechy znachorstwa i zaleczenia ran społecznych. Dzieje się tak z konieczności, bo gdyby ten humanitaryzm był konsekwentny, musiałby natychmiast zakwestjonować zasady systemu, z którego powstał. A to równałoby się samobójstwu.

Pisarz jednak, którzy szczerze wymawia słowo „niedola" musi się pozbyć tych koligacyj i sugestyj. Musi wyrzucić precz brednie, które ociekają mdłym sentamentalizmem. Ważne jest tylko to. co trzeba zmienić, jak trzeba zmienić i w co trzeba zmienić, oraz — proste, szczere współczucie dla ciepienia.

Eugenjusz Byrski

Przez kuchnię do... nieśmiertelności

I.

Środze odpokutowali swoją śmiałość ci z literatów, którzy poważyli się zarzucić współczesnej kobiecie piszącej brak poczucia odpowiedzialności za słowo, a co za tem idzie i doraźność sądów i ocen, uogólnianie i płycizny psychologiczne i t. p. Wszystko to w porównaniu z twórczością pisarzy mężczyzn miało jakoby w sposób zdecydowany przesądzić o pewnej hierarchji pióra, — w zależności od tego, czy trzyma go ręka bardziej lub mniej kosmata, czy też wyżyłkowana dłoń o delikatnych palcach i nieodmiennie wymanikiurowanych paznokciach.

Zamigotała stal..ówka w obronie czci i honoru „Beatrycze piszącej" i jej równych praw do Pantheonu sławy. Polało się sporo atramentu i mężczyzna, (podrapany, zdaje się, przy okazji dotkliwie) wycofał się cichaczem z pola walki, wierząc w swe racje, ale nie mając odwagi prowokować przeciwniczki do dalszych wynurzeń, w których łacno udowodnionoby mu niskie intencje, „specyficznie męską" zazdrość, oraz wybitny zanik zdolności do niezależnego myślenia, już nie mówiąc o przyrodzonym braku uczuciowości, — co w konkluzji świadczyłoby o nadchodzącej erze kobiety, kobiety piszącej.

Jak widzimy więc walka, wypowiedziana tezie o niższości literatury kobiet nie przyniosła — z pozoru, być może, — definitywnego wyniku, o ile, powodowani ową „specyficznie męską" zawiścią nie chcielibyśmy uznać, cierpiąc ponadto na zanik rycerskości, — argumentów Pań za rozstrzygające.

Godzi się jednak nadmienić, że w innej dziedzinie sztuki, nie kto inny, jak właśne kobieta odniosła sukces niecodzienny: jej praca, codzienna i bynajmniej nie artystyczna, co ważniejsza zaś, doświadczenie i wnioski, rezultat intelektualny tej pracy, stały się punktem wyjścia i terenem szczegółowych rozważań promotorów współczesnej architektury.

Kobietą tą jest Pani Domu. Jej zadanie, to, w tym wielkiej wagi dla sztuki architektonicznej okresie przełomu, powołano do współpracy przy formułowaniu fundamentalnych tez współczesnego budownictwa mieszkaniowego; opinja pani domu — w zakresie kolejności, drobiazgowego wykonywania szczegółów codziennych zajęć domowych, zwłaszcza zaś w sferze trudu gospodarskiego — stała się rozstrzygającą i zdecydowała o jej wybitnej, głównie terenie kuchni i pralni, roli w projektowaniu współczesnego mieszkania. Bowiem architekt, chcąc osiągnąć względnie najlepszy i celowy jego rozkład, umożliwiający szybką i lekką pracę, zmuszony jest odwołać się do doświadczenia tej, która jest organizatorką i kierowniczką tej pracy, zapoznać się z mechanizmem precyzyjnej maszyny, jaką jest życie rodzinne i gospodarskie określonej warstwy społecznej, prowadzone na niewielkiej powierzchni, w granicach dużej wygody, ale i dużej przeważnie oszczędności.

W takiem oświetleniu sylwetka kobiety - gospodyni nabiera szczególnego znaczenia; w swej skromności, nie walczyła ona początkowo zbyt hałaśliwie o uznanie dla swej roli współpracowniczki w reformowaniu starego porządku rzeczy; była wprawdzie tylko „cichą wspólniczką" tej akcji, powołaną do współpracy przez architekta i niewiele ze splendoru tego współczesnego przewrotu spłynęło na nią.[1]).

Niemniej jednak, jak widać, wzięła znaczny udział w tworzeniu nowej kultury mieszkaniowej. Znany architekt niemiecki Bruno Taut swoją książkę o nowem mieszkaniu[2]) opatruje podtytułem: „Pani domu, jako twórca". Później związki pań domu przez swe wystawy i publikacje (z ost. wyd. por. np. „Dom - Osiedle - Mieszkanie", styczeń, 1934) starają się zdyskontować dla siebie — i słusznie — część rozgłosu, towarzyszącego pracy projektodawczej. Dzisiaj, kiedy rola ich w dziedzinie opracowywania rzutów poziomych (planów) mieszkań uznana jest za bezsporną, miło jest pomyśleć o bezimiennej zasłudze kobiety, codzienną swą pracą i doświadczeniem kładącej trwały fundament pod zręby nowej, współczesnej cywilizacji.

II.

„La loi Loucheur précisait l'importance de la cuisine **au point de vue moral et Social** dans l'habitation à bon marché, et la nécessité d''un agencement moderne en raison de l'exiguite des pièces".

(André Davy, Les cuisines, „L'architecture d'aujourd'hui", Mai, 1933).

Nie ostatnim z celów pracy architektonicznej przy projektowaniu mieszkania jest zracjonalizowanie gospodarstwa domowego: mieszkanie musi być zaprojektowane trzeźwo i nietylko tak, aby odpowiadało przebiegowi pracy i warunkom życia danej rodziny, w danej sferze społecznej; pomieszczenia winny osiągnąć maksymalną użytkowność, praca zaś przez odpowiednie ustawienie aparatów i umeblowania ma stać się — w granicach określonych możliwości — jaknajlżejszą i jaknajszybszą.

Aby zaspokoić to żądanie, musi zatem architekt znać pracę pani domu, musi wiedzieć, jak toczy się życie w warstwie socjalnej, dla której on buduje. Ustalając rozkład mieszkania, winien sobie projektujący zdawać sprawę z wszystkich, nawet najdrobniejszych, szczegółów pracy gospodarskiej, życia towarzyskiego, codziennych zajęć mieszkańców. W przeciwnym razie wartość mieszkalna takiego wadliwie zaprojektowanego, t. zn. bez liczenia się z wymaganiami i trybem życia zamieszkałych go zespołu pomieszczeń może stać się tak niską, że nie będzie odpowiadać współczesnemu pojęciu o higjenie i wygodzie. Nic dziwnego zatem, że na pierwszy plan wysunęło się zagadnienie kuchni. Jeden z pierwszych za ścisłą współpracą z panią domu opowiedział się B. Taut, którego kuchnie uznane zostały, jako b. praktyczne.

Nie będziemy tutaj wchodzić w omawianie szczegółów urządzeń i układu; zaznaczymy tylko, że w początkach tej pracy zarysowały się dwa podstawowe typy: pierwszy, którego początkowem stadjum była kuchnia Tauta, ze stołem do spożywania posiłków, drugi, o b. ograniczonej powierzchni, służący tylko do gotowania i zmywania. Z tych drugich godną uwagi byłaby odmiana według projektu Haeringa i Hilbersheimera (t. zw. kuchnia pierścieniowa), w której kręcony taburet kuchenny umożliwia gotowanie i zmywanie w pozycji siedzącej; również ciekawą, znakomicie przemyślaną odmianą tegoż typu jest t. zw. kuchnia frankfurcka, wbudowana w prawie wszystkie nowe domy Frankfurtu.



Tak wyglądała kuchnia w XV-ym wieku.

To ostatnie, najsłynniejsze bodaj rozwiązanie kuchni współczesnej, której wymiary wnętrza ograniczają się zaledwie do 187 cm. szerokości, 344 cm. długości i 260 cm. wysokości, a zaopatrzonej we wszystkie konieczne przybory i instalacje, obficie oświetlonej i dobrze zwentylowanej — zawdzięczamy architektowi - kobiecie, pani Grecie Schütte - Lihotzky.

System kuchen mieszkalnych, naogół niewskazany, nie mógł zostać wyparty dotychczas — ze względów ekonomicznych — z nowych osiedli.

W tych wszystkich projektach zagadnienie właściwego układu naczyń i aparatów, takich, jak suszarnia, zmywak, zlew i t. p. staje się problemem pierwszorzędnej wagi. Trafny lub nieodpowiedni wybór miejsca rozstrzyga bowiem bezapelacyjnie o tempie i prostocie pracy. Oczywista architekt w swojem studjum projektodawczem nie przyjmuje bezkrytycznie spodynię; stanowi to dla niego jedynie surowy, acz podstawowy materjał w jego pracy kompozycyjnej. Co więcej, zaznajomiwszy się dostatecznie z techniką gospodarstwa i z trybem zatrudnienia na terenie kuchni, mógł architekt ze swej strony wprowadzić racjonalne, często rewelacyjne ulepszenia w sposobie prowadzenia zajęć codziennych, związanych z przygotowaniem posiłków, zmywaniem naczyń i t. d. — danych, dostarczonych przez gowszystko przez należyte ustawienie i celowy dobór aparatów kuchennych.

Stanowiło to pożądaną przeciwwagę dla często spotykanego tradycjonalizmu gospodyń, nie mogących się wyłamać spod presji przestarzałych zwyczajów i przystosować no nowych, z gruntu zmienionych, warunków współczesnej techniki mieszkaniowej. Będzie tu dla nas rzeczą w wysokim stopniu interesującą zapoznać się z opinją kobiety, objektywnie oceniającej rolę architekta w tej współpracy:

„Architekt, który zużytkowuje doświadczenie Pani domu i w ten sposób od niej się uczy, może jednak również z drugiej strony sam oddziaływać wychowawczo. Zapomocą układu mieszkania w ramach projektu może on zmusić panią domu do pracy racjonalnej, a rodzinę do prowadzenia zdrowszego trybu życia. Właśnie wiele kobiet spośród pań domu idzie tylko szlakiem dawnych tradycyj.. Tak, jak w niektórych gospodarstwach utrzymały się u steru matki i babcie, w nowych— pracują młode panie, przyjmujące stare przyzwyczajenia, jako zrozumiałe samo przez się, nie zastanawiając się w wielu wypadkach wcale, czy i jak można wiele rzeczy ulepszyć. Architekt jednak np. przez praktyczny rozkład kuchni i t. p. stwarza możliwość racjonalnego przebiegu pracy i projektuje mieszkanie tak, że mieszkańcy mogą prowadzić życie zdrowsze od życia w ich dawnej siedzibie i tym sposobem muszą przecież uczynić — niejako pod przymusem — nawrót ku lepszemu". (Elfriede Behne [3]).

III.

Opinja, przytoczona powyżej, podkreślając znaczenie i rolę czynnika racjonalnej gospodarki w całokształcie spraw, związazanych z projektowaniem współczesnego mieszkania, — wyodrębnia tem samem w zagadnienie wagi specjalnej wpływy potrzeb zwyczajów życiowych na kształtowanie się typów mieszkalnych. I robi to nie bez przyczyny. Owo królestwo kopciuszka, dziedzina— jakże mało poetyczna — rondla i warząchwi, wzgardzona przez umysły wyższe ojczyzna „garnkotłuków", — stała się przecież nieladajakim tematem zainteresowania: od chwili, w której zrobiono kapitalne odkrycie, że mieszkanie należy budować dla ludzi żywych, chcących w nich mieć zagwarantowane pewne minima — dziś wyższe, niż przed laty pięćdziesięciu — wygody i higjeny, musiano zwrócić baczniejszą, niż dotychczas uwagę, na ową „zaklętą pieczarę", przeznaczoną do „warzenia strawy". Wygnać dymy i zaduch, snujący się z niej po całym mieszkaniu, zmniejszyć rozmiary do niezbędnych, aby skrócić drogę: trzon kuchenny — stół — zmywak — zlew — kredens, urastającej w kilometry, racjonalnie ją oświetlić i celowo umeblować, — te żądania wydają się dziś nam aż nadto uzasadnione.[4])

Przed laty, gospodyni, o ile była zmuszona sama zajmować się gospodarstwem, — predystynowana widocznie do męczeństwa za grzechy przodków — zamieniała z poddaniem wianek mitrowy na cierniowy i... dreptała ową, przeraźliwie długą „ścieżką życia", poganiając, gwoli ulżenia zbolałego serca „tę, która chodzi kuchennemi schodami"...

Architekt wieku XIX-go, artysta (przeważnie) z Bożej łaski, zajmował się naonczas budownictwem monumentalnem, t. zn. popełniał twórczość „renesansową" lub „gotycką", zależnie od okoliczności, zmuszony zaś przypadkowo kreować mieszkania, nauczał „zgniłe" mieszczaństwo na własnym, żywym przykładzie, jakie to, panie dziejski, Vignola wszczepił mu umiejętności. Układ wnętrza, t. zw. popularnie „wnętrzności", jako nie mające nic wspólnego ze sztuką, nie budziły jego „interesu artystycznego".

Ale współcześni nam młodzi adepci architektury (ci, oczywiście, którzy budują mieszkania, a nie kościoły lub teatry), utworzyli „front na kuchnię" i wezwali panią domu, aby wykrzyczała wreszcie swoje udręki. Zrobiła to, czyniąc zadość swej wrodzonej skłonności, i, wierząc w zagwarantowane przez architekta spełnienie jej słusznych postulatów, — dopięła celu: zrównała swe prawa gospodyni z prawami pana domu, pracującego wygodnie w swym gabinecie (i przekraczającego progi zadymionej kuchni jedynie podczas nieobecności małżonki, aby uszczypnąć kucharkę). Dziś architekt zdejmuje jej z głowy cierniową koronę udręki, by wpleść w nią skromny wprawdzie, lecz zasłużony listek wawrzynu.

---

[1]) Trudno się oprzeć pokusie przytoczenia tutaj urywku z artykułu A. Maurois: „Trzeba przyznać, że właśnie, jako współpracowniczka kobieta jest czemś niezrównanem. Oczywiście, są kobiety twórcze i nie chcę bynajmniej owem twierdzeniem pomniejszać zasług kobiecych. Jednakże naogół biorąc, zadaniem kobiecem jest właśnie współpraca, a bynajmniej nie walka na froncie z wrogą materją życia". („Miłość czy praca?" I. K. C., Nr. 8, 8 stycznia 1934 r.).

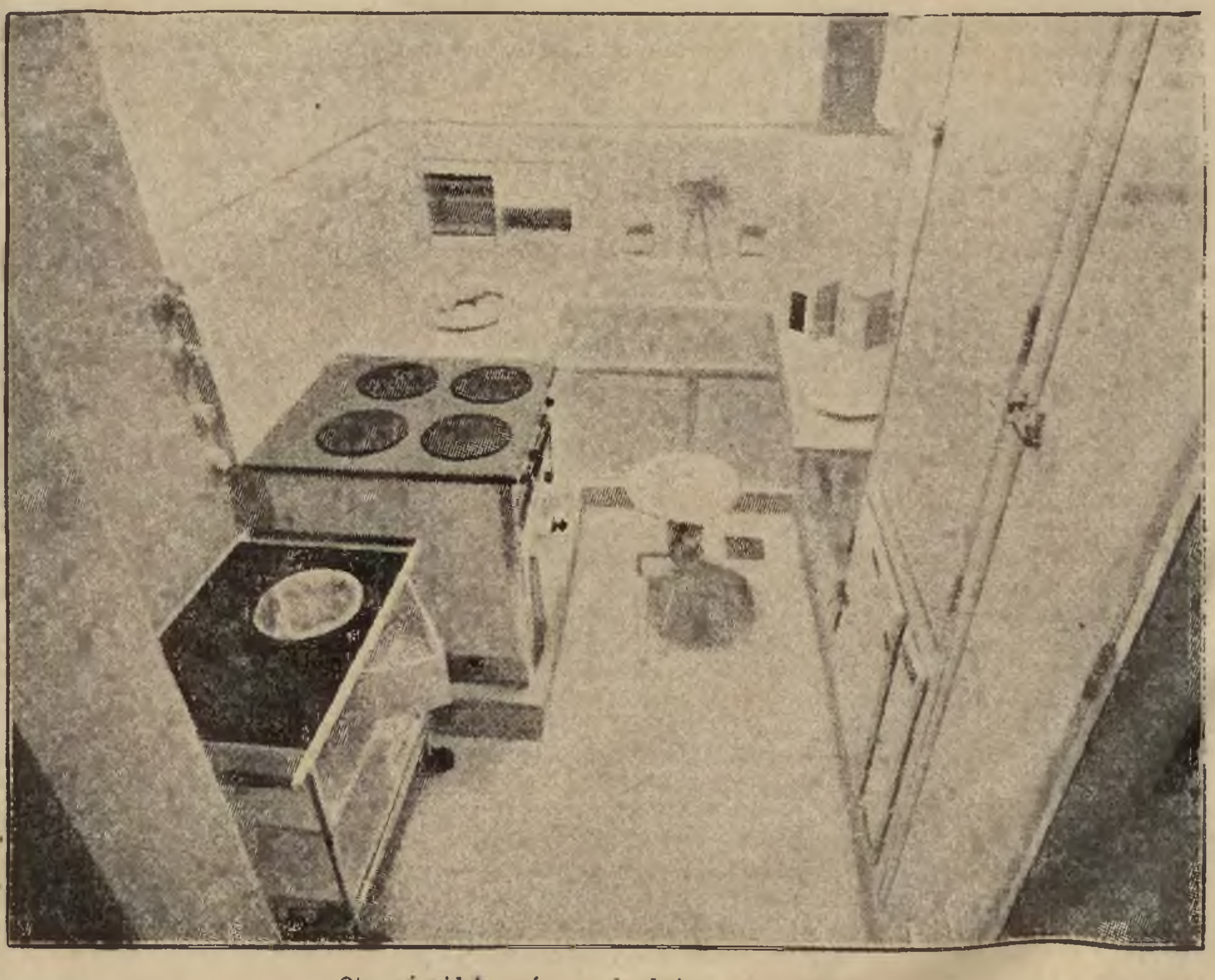
[2]) Bruno Taut: „Die neue Wohnung" (die Frau als Schöpferin), Lipsk, 1925.

[3]) „Wohnungswirtschaft", Berlin, 1929. Dalej zaś czytamy: „Opracowanie takiego rzutu wymaga wiele zastanowienia, wiele pracy i cierpliwości. Jedynie człowiek z odczuciem społecznem może pracować twórczo na tem polu. Tu chodzi o dokonanie istotnej pracy kulturalnej i o pomoc przy stworzeniu lepszego i zdrowszego trybu mieszkania i życia".

[4]) Kuchnia dzisiejsza — zaopatrzona w instalacje, wyłożona glazurą i terrakotą — przypomina raczej laboratorjum, w którem utrzymanie nieposzlakowanej czystości pomieszczenia i naczyń — niemal jak w nowoczesnej sali chirurgji — jest warunkiem sine qua non. Przodkowie nasi w tym zakresie byli bardziej zrezygnowani. Dr. A. Lauterbach na str. 48 swej pracy p. t. „Pierścień sztuki" cytuje zdanie Łukasza Opalińskiego, który w swej książce o budownictwie („Krótka nauka budownicza Dworów, Pałaców y Zamków podług Nieba y zwyczaiu polskiego", 1659)... „kuchnie zaleca stawiać oddzielnie pod osobnym dachem, z uwagi na nieczystość i zaduch, gdyż, jak mówi, w Polsce kuchnia nie może być utrzymana w czystości **dlatego, że w niej siła warzą, pieką i smarzą — carnificina sroga**".



Typowa kuchnia „przedwojenna".



Oto zaś widok z góry na kuchnię nowoczesną.